

O dwóch książkach Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm



Aleksandra Ziółkowska-Boehm w swoim domu w Wilmington, w stanie Delaware.

Korespondencja Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm z Szymonem Kobylińskim na temat autobiograficznej książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm pt. "Ulica Żółwego Strumienia" zawarta w książce „Nie minęło nic prócz lat”.

Wieś Gniazdowo, 17 maja 1995 r.

Oleńko Boehmiła!

No i otóż to właśnie! Nareszcie książka [ULICA ŻÓŁWIEGO STRUMIENIA] prawdziwie oleńkocentryczna, gdzie mamy co prawda, jak Pan Bóg przykazał,

realiów światowych mrowie, ale oglądamy je nie w spisie, dokonanym przez jakąś bliżej nie rozpoznawalną panią, ale w opowieściach konkretnej Oleńki, tej ze wzmiankowanego miasta Łodzi.

Inna sprawa, że jest to w istocie książka bardziej t o m k o c e n t r y c z n a, bo zaprawdę Kwiczół jest tu, jakże słusznie, najpozytywniejszym bohaterem, odnośnikiem wszelkich wartości, miernikiem zdarzeń, trafnie dobranym ośrodkiem uczuciowym i emocjonalnym. Tak - by the way - czemu nie ma informacji, że był Kwiczółem, nie rozumiem, skoro to rubaszna, jakby dobrotliwym basem mówiona pieszczota słowna, świetnie ukazywała sytuacje w panamelchiorowym domu. I chyba dobranie epitetu też coś mówiło, skoro wszelkie drozdy, w tym paszkoty, kwiczoły etc. - są ptaszkami ogromnie rozrywkowymi, wesolutkimi, pełnymi uroku, żwawości i wdzięku. Potraktowane zaś myśliwsko, co mi jest osobiście jak najbardziej obce, są też wyjątkowo smaczne... Co stwierdzam ze smutkiem nad takim losem ptasząt, ale obiektywności gwoli.

Tomek się jawi przede wszystkim d o b r y, a to komplement najszczytowszy z możliwych, zwłaszcza dziś, a ponadto od małego mądry życiowo i sercowo. Jego zgorzenie, iż babcia mogła posądzać o coś tak błahego, jak zachwycenie dziewczęcym fartuszkim, gdy w istocie zafascynowały malca OCZY koleżanki, ta migaweczka nad wyraz wymowna. I fakt, że to powiedział, korygując przodkinię...

Zarazem jego losy, rozpostarte po mnóstwie krain i szkół, jednak zaliczanych „w cuglach”, są świetnym leitmotivem całej narracji. Coś rośnie i dojrzewa z tym chłopakiem, coś się spełnia i czyni coraz bogatszym duchowo.

W ogóle okazuje się, że jesteś wyraźnie i magnesem, i katalizatorem ludzkiej dobroci. Postać Mister Normana to kolejny przykład tych zdolności przyciągania osób spolegliwych życiowo, których tak wiele widnieje w spisie Twoich przyjaciół. To „lubię przyjaciół”, arcy mądre i uniwersalne motto międzyludzkich, pozytywnych związków, doskonale rzecz oddaje. A przy okazji pochlebia nam, których liczysz do grona ludzi, obdarzony przez Ciebie życzliwością.

Okazało się w tej mierze, iż i sam wielki Tatarkiewicz, największy przecież ekspert od szczęścia, miał to samo o Tobie zdanie, jakie ja swego czasu wyłożyłem Kąkolewskiemu, gdy dumał głośno o Twojej pozycji w dziele Wańkowicza. Wręcz

namawiałem p. Krzysztofa, by to opisywał, gdyż relacja o niuansach więzi między najrozmaitszymi bliźniami jest jego stałym tematem. I nic jeszcze o poglądzie Tatarkiewicza nie wiedząc (bom to poznał dopiero teraz z ULICY ŻÓŁWIEGO STRUMIENIA) instygowałem człeka do ukazania portretu mistrza Melchiora, jako Duszy Niespodzianej, zaskoczonej czemś, czego nie praktykował, czego emocjonalnie nie znał - przyłapanego na kapitulacji przed Dobrocią... To mu się nie zdarzało przez całe długie, twardą skorupą opancerzone życie bezlitosnego obserwatora. Umiał wzruszać jak mało który pisarz, ale sam nie wzruszał się nigdy, nie ulegał tej, jakby to określić - tej s ł a b o ś c i. Taki był zresztą wymóg jego precyzyjnie obmyślanego warsztatu, zimnego skalpela i chłodnego, lodowatego szkiełka badacza. Ignorował - niczym tę starszą panią, co chciała mu przypomnieć, że była dziewczęciem z Kalużyc - wszystko zbędne w fiszkach, notatkach. w tworzywie wszelakich „karafek LaFontaine'a” I oto nagle, tuż przed odejściem, tuż przed definitywnym a d i e u - trafia go, trafia mu się niespodzianka ... uczuć? Nie, to nie celne określenie. Raczej: - odczuć. Nowego typu wrażliwości, nowej relacji w bezinteresownej sferze, dotychczas mu obcej, w sferze Dobroci właśnie. On nie wiedział, co z tym zrobić, jak to przeżywać, „czym to się je”, gdy się samemu ulega napływowi serdeczności, jakże dalekiej wprzódzi, jak bardzo przezeń nie używanej! Kąkolewski słuchał tego wszystkiego skulony i zaskoczony, a potem wybąkał coś w rodzaju: „Nie podejmuję się... Nie wezmę tego...” - ale nie przeczył mi wcale. Przeciwnie, zdał się zaskoczony oczywistością tego właśnie, co Tatarkiewicz - jak się okazuje - już dawno ujrzał okiem wszechwiedzy.

Twoja książka i ukazuje, i podkreśla tę bezinteresowność działań w dobroci, Tomkiem ukoronowanej. I zjawienie się teraz obok Ciebie człowieka, który na tle rozmaitych znajomek literackich, środowiskowych, naukowych etc., zda się jakby przyciszony - jednakże jest żywym wcieleniem spolegliwości i czułości, to zjawienie się (bardzo czytelne w narracji) jest walnym i ważkim morałem z lektury. Całkowite pominięcie dyrektora samochodowego także należy do kompozycji, do chwytów warsztatowych - lecz chwytów dyktowanych nie tamtą zmarzliną pióra, ale samym życiem - i biograficzna luka w miejscu (regularnego przecież i wyraźnego) męża „po drodze”, jest luką literacko znaczącą. Tak odrzuca się któryś kolor, malując w skupieniu obraz tym Twej intuicji, a ile zamiaru, nie wiem do końca; - mówię o

efekcie czytelniczym. Inna sprawa, że czytelnik nie znający ściśle realiów Twego curriculum vitae, bodaj w takim stopniu ścisłości, jak my, czytelnik taki nie będzie wiedział, iż coś, czy raczej kogoś tu pominięto. Nie szkodzi, wystarczy, że otrzymuje zamkniętą, konsekwentną całość, niejako oprawę tego klejnociku, jakim jest Tomek... A z czego ta oprawa zrobiona? Jakie ingrediencje stopu są, a z jakich zrezygnowano, to mniej ważne. Znając dokumentację Wańkowicza od podszewki wiesz, ile elementów, pozornie znaczących, odrzucał, skreślał i ignorował. Znów – jak tamto spotkanie znajomej z lat chłopięctwa. Zbędna była do bieżącej roboty i już.

Tak przepadł zatem i dyrektor z FSO.

No, nachwaliłem się Ciebie potężnie, teraz czas na głos starego zrzędy, bezzerwissera i wtykacza trzech groszy. Czerwonym zasię ołówczkiem przyszpiliłem dziewięć punktów, które mi nie pasują do całości książki. Wpierw jednak zaznaczę, jak to czynię w podobnych okazjach, że tekstów mi obojętnych się nie czepiam, „wiszą mi zwiędłym kalafiolem” i nic autorom nie mówię. Tylko wobec obiektów mej życzliwości pozwalam sobie powybrzydzać i nosem pokręcić. Tak i teraz.

str. 60. – Przed domem rosła rozłożysta, ogromna b r z o z a. Skoro zaś brzoza, to skąd na niej bazie, i to w dodatku na Zielone świątki?!? Bazie ma wierzba, ale na Zielone świątki daaawno już są nie aktualne! Co to więc było za drzewo?

str. 102 – To wcale nie Skaldowie śpiewali „Za rok matura”; rzecz nie jest absolutnie w ich stylu. To chyba któreś Gitary, Czerwone lub Niebieskie, ale przenigdy Skaldowie.

str. 177. – Literówka, istotna nazwiskowo – zamiast Koziół powinno być na skolko ja znaju miedycinu, Koziół-Poklewski, dwa ł.

str. 246. – Zjawiają się młodzi Krzysio z Anią „...przedstawiłam im profesora (Tatarkiewicza)’: Shocking! Wyłącznie i c h można było przedstawić p r o f e s o r o w i, nigdy odwrotnie.

Nieco niżej zabawne określenie, tyżące Słonimskiego. Czytam mianowicie, iż „wiele osób ceniło jego felietony’.. Ba! Człowiek, który wpłynął na obraz epoki

intelektualnej, m.in. właśnie tymi arcyważkimi „Kronikami” w „Wiadomościach Literackich” – skwitowany tu uwagą, że „wiele osób ceniło: To tak, jakby o Wańkowiczu powiedzieć, że: Byli tacy, którzy go czytali z aprobatą. Albo o Tuwimie, iż niektórzy lubili jego wiersze... To wszystko filary kultury!

str. 258. – O ile mnie pamięć nie myli, kawiarnio-cukiernia w telewizji, to był „Kaprys prezesa” (wydał na to nieproporcjonalny majątek państwowy) a nie „Piekielko”: „Piekielkiem” zwano różne inne lokaliki, z reguły w suterenach, i to poza gmachem przy Woronicza.

str. 398. Szofer nowojorski powiada: „Ja wiozę ludzi tylko po Manhattanie: Nędzny język angielski nie posiada odmian czasowników częstotliwych: po naszymu rzekłby w tej sytuacji: „Ja wożę ...: Przecież „wiożę”, to tylko jeden raz.

str. 440. Podobne poślizgnięcie. Ichnie married znaczy zarówno „ożeniony”, jak „żonaty” „Mam zawsze zapewnioną randkę z piękną kobietą...” – i będzie to dobrym, dobrze podanym dowcipem.

Więcej (Twoich) grzechów nie pamiętam. Oby każdy literat miewał tylko dziewięć drobnych potknięć na 472 strony druku!

Oprócz nich winienem zaznaczyć, że jestem Ci nader wdzięczny, iż mnie – i to z życzliwością – wymieniasz & cytujesz. Rzadko mi się zdarza podobna satysfakcja, bo owszem, przytaczają nieraz, com opublikował lub rzekł, ale anonimowo lub zgoła jako własną wypowiedź przytaczającego... Pewien uczony historyk wręcz podał moją teorię a propos Matejki, jedyną w danym tonie i treści – ale ani się zająknął, że to nie jego. Miglanc KTT przypomniał po wielu latach pewną dyskusję prasową, gdzie starliśmy się ostro – i obwieścił, że głosił wtedy... – moje zdanie, acz je zwalczał gwałtownie. Dobrze, że nie napisał, iż ja głosiłem jego poglądy! W ogóle zresztą mnie nie wspomniął.

(...)

A tymczasem pozdrowienia serdeczne dla Ciebie i Twych Miłych Panów od obojga i

niżej podpisanego:

Szymon



Szymon Kobyliński

Wilmington, Delaware, 26 maja 1995

Drogi i Kochany Szymonie!

(...)

Chcę Ci powiedzieć, że niezrealizowanie wizyty u Was bardzo nam popsło przyjemność wspólnego pobytu w Polsce - bo mieliśmy plany takie wiosenno - turystycznie - przyjemnościowe na ten wspólny tydzień w Warszawie (jak wiesz, zanim Norman przyleciał, ja pracowicie jeździłam po Polsce ze spotkaniami autorskimi w związku z książką).

No właśnie - książka. Twój list czytałam chciwie, zatrzymując samochód na zboczu (pocztę odebrałam po drodze gdzieś wyjeżdżając). Jesteś wspaniały i kochany przyjaciel, żeś napisał aż tyle na temat mojej książki..... Ja tak bardzo chciałabym o niej rozmawiać, słuchać itd. Tymczasem większość osób w czasie mojego pobytu jeszcze jej nie znała. A czy napiszą w liście o niej? ... Zobaczymy, nie wszyscy mają tak dobre „manery”, a na pewno nie będzie im się chciało omawiać jej. Napiszą o swoich własnych różnych sprawach i swoich zajęciach.

Dziękuję za wyłapanie błędów i wykroczeń, kilka już sama spostrzegłam, ale większość jest nowych i tylko Twoje uważne oko i ucho je wyłapało. Masz wielką

rację, np. z przedstawieniem profesorowi (a nie jego). Chodziło o Krzysztofa i Joannę Kąkolewskich (nie o brata Krzysia i Anię), ale i to ich się przedstawia wielkiemu profesorowi, a nie odwrotnie. Za to złapanie błędu jestem Ci szczególnie wdzięczna. W sprawie drzewa zatelefonowałam do Mamy: była to brzoza, a bazy były na innym. Ha, tak to się ma ze wspomnieniami! A w ogóle nie zrobiłam korekty autorskiej i jest to cena, którą płacę za odległość. Moja redaktorka grzecznie dopilnowała, by maszynopis był przepisany; nie zwracając uwagi na wiele ważnych, mniej lub bardziej i subtelniejszych wykroczeń. Osobiście naliczyłam już blisko 30 błędów, wszystkie mam wydawcy posłać z końcem lata i miejmy nadzieję, że poprawi je w tzw. Dodruku (teraz ponoć się książki stale dodrukowuje, a nie robi kolejnego wydania). Martwię się o książkę, aby była czytana, i jak tylko masz ochotę i okazję – polecaj ją innym. Teraz to wielka sprawa książkę rozprowadzić, a reklama u nas nie jest prostą sprawą. Autorzy muszą pomóc wydawcom jak mogą.

Twoja uwaga o braku dyrektora, jest uwagą i wnioskiem na ten temat słusznym, bo moim założeniem było zrezygnowanie z tej postaci, jak z innych. We wstępie piszę, że jest to książka o wszystkim dobrym, za czym tęsknię. I że może należą do ludzi, którzy zapamiętują tylko dobre i szczęśliwe momenty swojego życia. Książkę zadedykowałam dzieciom w naszej najbliższej rodzinie, a więc założyłam, że będzie to książka rodzinna. („Mama i podróżniczka” – taki tytuł chciałam dać) i pozytywna. Wszystkie prywatności zostawiam na inną okazję, formę, inny czas, jeżeli ... itd.

Wyobraź sobie, że w książce (s.28) (i w jakimś wywiadzie, bodaj w „Expressie”) napisałam, że może kiedyś zamienię się w babsztyla i napiszę pełną żółci książkę zdradzającą sekrety swoje i innych, ale póki co nie umiem i nie czuję potrzeby... Otóż Krzysio K. Wypytywał mnie o bliższe znaczenie „tej pogróżki” (a ja pisałam z nadzieją, że to brzmi żartobliwie), nawet uściślając, że ja „nie znam jego sekretów, aby o nich kiedyś pisać”. Coś w tym stylu (wspominał nawet o adwokacie). Joanna przyszła na promocję (Krzysztof był poza Warszawą) i publicznie uściślała jakieś moje zdania w kontekście z nimi. Mnie się wydawało, i dalej wydaje, że piszę o nich z ciepłem i serdecznie, ale oni tak tego nie odebrali...

Dlatego dziękuję Ci za dobre słowa (bo Ty jesteś Wielki człowiek i twórca), szczególnie za te żeś „wspomniany” (nikomu innemu by nie przyszło na myśl, by podziękować). Przecież ja jestem ogromnie dumna z naszej znajomości, którą Ty

cudownie ośmielasz mnie nazywać przyjacią. Jesteś jedyną jak dotąd osobą, która to zrobiła, reszta przyjaciół z „mojego polskiego ogrodu” wyczytuje się i zastanawia... Nawet ktoś zarzucił mi, że jest go mniej niż innych... itd.

Że jestem taka dobra osoba... Nie wiem, jak dalece to dobry komplement (bo kobiety zawsze i wciąż oczekują innych jakby komplementów). Kiedy czytałam „KRÓL LEAR NIE ŻYJE” Marii Bojarskiej, zazdrościłam autorce, że umie tak bez ogródek pisać. Wychowano mnie z pewnymi zasadami, które dość silnie tkwią we mnie, i mam rozwiniętą wyobraźnię na krzywdę ludzką. I wiem, jak papier może skrzywdzić ludzi. Lubię plotki i różne wieści, ale chyba nie wyszłabym z tym na zewnątrz. Mam wiele przykładów moich i obok mnie żalonych i smutnych, bolesnych i trudnych spraw i historyjek, ale czy mam o tym w biograficznej książce w tzw. ... kwiecie wieku pisać?

Wiesz, trochę marzyło mi się, że Ty poprowadzisz to spotkanie w Klubie Księgarza (następne będę urządzać tylko zimą, abys był w Warszawie) i że ja zacznę od stwierdzenia, żeś Ty mnie sprowokował do tego typu otwartej i egocentrycznej książki. Bo to prawda.

(...)

Serdeczności od nas wszystkich,

Oleńka

Szymon KOBYLIŃSKI
Aleksandra ZIÓLKOWSKA-BOEHM



A. Ziółkowska-Boehm: Ulica Żółwiego Strumienia, Dom Książki w Warszawie, W-wa 1995 r., wyd. I, Twój Styl, Maj 2004 r., wyd. II.

A. Ziółkowska-Boehm: Nie minęło nic prócz lat, wyd. Nowy Świat, Warszawa 2003 r.

Szczyście w Wilnie



Zygmunt Vogel, Ulica w Wilnie.
XIX w. Muzeum Narodowe, Kraków.

Wileńska karta w twórczości Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

Romuald Mieczkowski

Słowa te nawiązują do poezji Gałczyńskiego, a mianowicie do jego wileńskiej karty w twórczości. Kiedy mówimy o Wilnie literackim, najczęściej nie w sposób uniknąć pewnego stereotypu, jaki się zamyka w klasycznej klamrze historii literatury polskiej z etapem wileńskim. Tę klamrę tworzą dwa wspaniałe „M”: Mickiewicz i Miłosz. Przy okazji przypominamy innych twórców, pochodzących z tej ziemi, bądź dawnych kresów. W niepamięć jednak idą ci twórcy, którzy byli tu „przybyszami”. A przecież dali się zauroczyć tej Ziemi, poświęcili jej piękne karty swojej twórczości!

Gałczyński do Wilna przyjechał w roku 1934, miał zamiar tu pozostać z rodziną na zawsze. Ściągając swą żonę – *srebrną Natalię*, w postaci zaproszenia wysłał jej

wiersz pt. *Szczęście w Wilnie*, wydrukowany po raz pierwszy w „Słowie” Stanisława Cat Mackiewicza. Potem stale drukował i w innych pismach wileńskich - w „Żagarach”, dodatku do wspomnianego tytułu, w „Środach Literackich”, „Kurierze Wileńskim”. To Gałczyńskiemu zawdzięczamy romantyczną, pomarańczowo-zieloną aurę miasta, pełną zaczarowanych dorożek, „płynących w mglistość”, z Gerwazeńkiem i Protazeńkiem, strażnikami mitu grodu nad Wilią.

Gałczyńscy mieszkali na Zarzeczcu, przy ul. Młynowej 2, tuż przy dzisiejszym placu z pomnikiem Anioła Zarzeczca, przy „*Wilence, rzeczce małej, swarliwej, / łkającej czarno, ciemno, po rosyjsku*”. Innym razem o niej napisze: „*Płynie Wilenka-rzeczka, księżyc w rzeczce jak świeczka.*” Zastali przychylną atmosferę, Gałczyński otrzymał wiele propozycji współpracy, w Celi Konrada uczestniczył w wieczorach literackich, niestety, jak pisze w *Albumie Wileńskie* Stanisław Lorentz, nie udało się Środa Literacka z poetą, który się opóźnił bardzo, a gdy już przyszedł, nie był wcale w stanie czytać wierszy...



Zygmunt Vogel, Wilno.
Kaplica w Ostrej Bramie.
Biblioteka Jagiellońska w
Krakowie.

Codziennie wędrował autor *Zielonej Gęsi* swoimi drózkami, bądź przez Ogród Bernardyński, Plac Katedralny do kawiarni „Literackiej”, bądź do Oddziału Wileńskiego Związku Literatów Polskich na Ostrobramskiej 9, bądź do Rozgłośni

Polskiego Radia. Spotykał się z wieloma Wilnianami, rozmawiał, obserwował, pisał, również sporo dla „Smorgonii”, radiowego kabaretu satyrycznego w Wilnie – cotygodniowy felieton. Dla Rozgłośni Wileńskiej napisał słuchowisko *Taniec elfów* – satyrę na stosunki szkolne, której tekst zaginął.

W dodatku literackim do „Kuriera Wileńskiego”, wydanego na prima aprilis – 1 kwietnia 1935 roku pod redakcją Adolfa Pirmasa, a pod tym pseudonimem wydrukowali swe satyryczne wiersze Teodor Bujnicki, Jan Huszcza, Czesław Miłosz, Jerzy Putrament, Aleksander Rymkiewicz i Jerzy Zagórski, umieszczono też równoległe wiersz pt. *Depresja wileńska*, stylizowany pod gwarę wileńską, którego autorem był niejaki Karakuliambro. Pod tym pseudonimem krył się Gałczyński.

Tak inne od miast Rzeczypospolitej, ze swoją bogatą architekturą, różnorodną mową ludzką, Wilno Gałczyńskiemu nie mogło nie dać wiele wspaniałego natchnienia. Wiersze otrzymały tu wiele ciepła, zanurzanego w otocze tajemniczości, szeptanej słowami wielkiej miłości do niedawno poślubionej żony.

Kryło jednak Wilno i pewną zagadkę, która często zostawała nieodgadnięta dla ludzi tu przybywających. Otóż co sprawia, że magiczności miasta bywa za mało, żeby tu pozostać, żeby „wżyć się”, żeby nie powstawały nieporozumienia z „tutejszymi”. Czyżby trzeba tu się urodzić, aby rozumieć sedno tej ziemi? Gałczyński podzielił los Witolda Hulewicza – nie „znalazł się” w tym mieście i po nieudanych próbach osiągnięcia stabilizacji życiowej i przełamania kryzysu materialnego, po dwóch latach zamieszkania na Zarzeczcu, w roku 1936 opuścił Wilno.

Napisał o mieście wiele pięknych wierszy, że wymienię te, które mają przymiotnik „wileński” bądź nazwę miasta w tytule. Prócz *Szczęścia w Wilnie* są to: *Elegie wileńskie*, *Noc w Wilnie*, *Wilno*, *ulica Wileńska*, *Wileńskie imbroglio*. Gałczyński uwiecznił ulice – Młynową, Szklaną, Gaonę, Mylną, Podwójną, a szczególnie Niemiecką, która dla niego była jedną z najbardziej fascynujących ulic w mieście. W wierszach przywołuje często Mickiewicza, utrwalił też ludzi sobie współczesnych – m. in. Henryka Kunę, Henryka Dembińskiego, Iwo Jaworskiego, Malfreda Kridla, Józefa Maślińskiego.

Z wędrówek po Wileńszczyźnie powstał wiersz *Duchy w Ornianach*, czyli *Prolog*. Orniany to wówczas majątek męża Hanki Ordonówny (Tyszkiewiczowej), w którym

Gałczyńscy kilkakrotnie gościli. Upłynęło im tu lato 1935 roku - od połowy czerwca do połowy września. Poeta napisał dla pieśniarki program estradowy, teksty do melodii angielskich i francuskich. Niezwykle popularna artystka miała w swym repertuarze piosenki *Gałązka wiśni* i *Szafirowa romanca*, w jej stałym repertuarze były *Buty szewca Szymona*, do których teksty napisał właśnie Gałczyński.

W ciągu dwóch lat powstało około 60 utworów. Już po tym, jak Gałczyńscy przenieśli się do Warszawy i zamieszkali w Aninie, napisał nie tyle Wilnu, co sobie gorzki wiersz pt. *Wciąż uciekamy*, choć przed dwoma laty była to szczęśliwa „Farlandia” (od angielskich słów *far land* - daleki kraj), zaś 26 kwietnia 1936 roku tu na świat przyszła Kira. To rozstanie dojrzewało wcześniej, w wierszu, napisanym w tymże roku, poeta Natalii miał na okarynie zagwizdać „o naszym wielkim bólu w małym Wilnie”. Podobno nie wszystkim podobało się, że Gałczyński „wyśmiewa” wileńską polszczyznę, jak odebrali niektórzy *Piosenki naczelnika wydziału grobownictwa*. Nie mogły się też podobać wypowiedzi poety, że Wilno ma tak dalece charakter rosyjskiej prowincji, iż wydaje się, jakby tu za chwilę miał zjechać rewizor...

Miasto będzie wspominać w latach późniejszych - m. in. w „*Jubileuszowej*” rozmowie z Kirą, a w 1939 roku, tuż przed wybuchem wojny stwierdzi: „*A zachód jak witraż burguncki / rozłukł się już nad Wilnem.*”

Ale - jak już wspominałem - Gałczyński nie tylko w Wilnie pisał wiersze. Powstało niemało bardzo ciekawych felietonów, przedstawiających specyfikę miasta i jego mieszkańców, napisanych z werwą, barwnie i z humorem. Szkoda, że większość z nich zaginęła, głównie w redakcji warszawskiego „*Ilustrowanego Kuriera Codziennego*”, który z większego cyklu wydrukował tylko trzy utwory. Są to *Wileńska jesień*, *Humpty-Dumpty*, *Sekta „Mazaro” zbiera na Gwiazdkę dla dzieci*. Z „wileńskich” rzeczy odnotować należy też „*Ze cziq o Tobie mówimy, Wieszczu!*” i szczególnie *Serdeczności wileńskie*. Ten ostatni felieton zaczyna się słowami:

„*W dalekim cudacznym Wilnie - ludzie serdeczni. Co chwila słyszy się: - Kochanieńki, gołąbko, miłość uczyn, na herbatkę przyjdź! Z pierogami!*”

Ludność mówi po polsku z rosyjska, po rosyjsku z polska, na dobrą sprawę sam czort nie wie, o co tym ludziom chodzi. We mgle dusze zgubili. Bełkocą. Serdeczność za to niesłychana. Oczywiście za serdeczność trzeba płacić serdecznością. Gorzej tylko,

gdy np. ma się mieszkanie z wanną.”

Gdzie indziej czytamy:



Zygmunt Vogel, Kościół Misjonarzy w Wilnie. Muzeum Narodowe, Kraków.

„Magia słów: Rzeczywiście jest zmierzch wieczorny nad Wilnem. Powinienem zapalić lampę, ale jakoś - nie chce się. Otwieram okno na tę cudowną jesień 1934... Balladami o romansami pachnie... Po tych ulicach chodził... Przystawał... Zamyślał się... Ucho natężał ciekawie... Chłopak zadziorny. Tu w Wilnie nad jego czułymi wierszami płakali najprostszy. A przecież był poetą <<awangardy>>. Jakie to dziwne. A jakie proste!”

Klimat wileński świetnie też przedstawiony jest w przezabawnym felietonie *Humpty-Dumpty*:

„Teoria i praktyka pojedynków wileńskich (po francusku: les duels vilains) jest zasadniczo taka sama jak i gdzie indziej, Z tą różnicą, że w Wilnie pojedynki odbywają się nieomal co tydzień. Zawsze przecie znajdzie się zagadnienie, którego nie sposób rozwiązać inaczej. Np. pan A. powie poufnie o panu B., że pan B. nie jest intelektualistą. Oczywiście w osobie pana B. cały kraj czuje się dotknięty do żywego. I naturalnie sprawa honorowa, humpty-dumpty.”

Vilniana Gałczyńskiego są bardzo różnorodne. Obraz życia w mieście maluje człowiek niejako bezstronny, wrażliwy i wykształcony, mający skale porównawczą bycia w niejednym miejscu. Po przeczytaniu felietonów wyłania się obraz miasta „z charakterem”, pełen kolorytu, harmonii, ale i sprzeczności. Pełen też niezwykłego

piękna, jakby to była kraina, stworzona dla zakochanych i artystów...

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, 2003 r.

Cichy bohater



Aleksandra Ziółkowska-Boehm i Norman Boehm, Warszawa, fot. arch. rodzinne.

Nie jest żadnym odkryciem, że na drodze do NATO Polska nie miała samych sojuszników. Wśród sił, które - z różnych przyczyn - nie były zachwycone tą

perspektywą, znalazła się część amerykańskich elit politycznych i tamtejszej opinii publicznej.

W przełamywaniu negatywnego stosunku odegrało rolę wiele osób, znanych i nieznanymi. Do tych drugich należy, niedawno zmarły, Norman Boehm (1938–2016). Ten Amerykanin o szwedzko-niemieckich korzeniach bezinteresownie i z powodzeniem włączył się w kampanię na rzecz Polski.

Kim był? Najkrócej – człowiekiem sukcesu, prywatnie – kuzynem wielkiej aktorki Ingrid Bergman. Wszechstronnie wykształcony (studia chemiczne i prawnicze), pracował w charakterze menedżera w koncernach naftowych ARAMCO (Arabian American Oil Company) w Arabii Saudyjskiej, dla Exxon (Esso) w Anglii, Norwegii i Teksasie. Zasłynął w 1976 roku wynegocjowaniem największego kontraktu w historii Esso i Shell, dotyczącego szybów wiertniczych na Morzu Północnym, na zawrotną ówczasie kwotę 462 milionów dolarów. Zgodnie z najlepszą amerykańską tradycją miał też za sobą służbę wojskową, jako pilot marynarki wojennej.

Szczęśliwym zrzędzeniem losu był mężem Aleksandry Ziółkowskiej, polskiej pisarki, zaangażowanej na rzecz Polski i Polaków na trudnym amerykańskim terenie. To jej zawdzięczamy, że Norman stał się – jak napisała – „niemal polskim patriotą”. Nie znając polskiego, zadał sobie trud poznania i zrozumienia niełatwej dla obcokrajowca polskiej historii. Wiedza ta stała się solidnym „oprzyrządowaniem” merytorycznym, gdy zaczynała się Wielka Gra o NATO. Dodatkowym atutem były jego umiejętności negocjacyjne oraz znajomość specyfiki amerykańskiego rynku politycznego z jego mechanizmami i niuansami.

Kluczowe znaczenie dla decyzji USA o przyjęciu Polski miał Senat. Autor *Polskiej drogi do NATO* (Wrocław 2006) Jan Nowak-Jeziorański szacował, że około 1/3 amerykańskich senatorów stoi po przeciwnej stronie barykady. Aleksandra i Norman Boehm odegrali istotną rolę w ich reorientacji. Akcja polegała na zasypywaniu biur senatorskich listami i interwencjami. Norman Boehm wykorzystywał również media, w tym lokalne, co zmuszało indagowanych polityków do wyjaśnień.

Działania o charakterze lobbingsowym przebiegały dwutorowo. Z jednej strony wywierano nacisk na polityków, z drugiej – na wyborców. Tych drugich należało przekonać i pozyskać dla sprawy polskiej, by z kolei oddziaływali na swoich

senatorów, stanowych i federalnych. Nowak-Jeziorański nazwał obrazowo tę technikę „masażem przez wyborców”. Zaangażowanie Normana wyraziście podsumował, jako wręcz nieprawdopodobną skuteczność. - Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem - napisał w prywatnym liście do Aleksandry Ziólkowskiej-Boehm.

Warto zaznaczyć, że Norman Boehm do końca życia pozostał człowiekiem skromnym, ciepłym, powściągliwym i nie chwalił się swoimi dokonaniem na rzecz Polski, a było ich więcej. Takich przyjaciół brak najbardziej. Zawsze i wszędzie.

BM

Ministerstwo Obrony Narodowej

źródło:

<http://www.mon.gov.pl/polska-w-nato/droga-do-nato/cichy-bohater-r2016-07-03/>

Już nie napisze

Florian Śmieja



Stefaia Kossowska, fot.
Archiwum Emigracji

W 2003 roku pod Londynem w wieku 94 lat zmarła Stefania Szurlej-Kossowska, wdowa po znanym malarzu Adamie (1905-1986). Wybitna dziennikarka i pisarka była ostatnią redaktorką historycznego już tygodnika literackiego „Wiadomości”, który prowadziła po śmierci jego założyciela, Mieczysława Grydzewskiego i jego następcy, Michała Chmielowca, aż do zamknięcia pisma w 1981 roku.

Dzięki jej przezorności całe archiwum „Wiadomości” znalazło stałe schronienie na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie stanowi nie tylko dodatkową atrakcję biblioteki, ale przede wszystkim jest bogatym źródłem wiedzy dla studentów i pracowników naukowych.

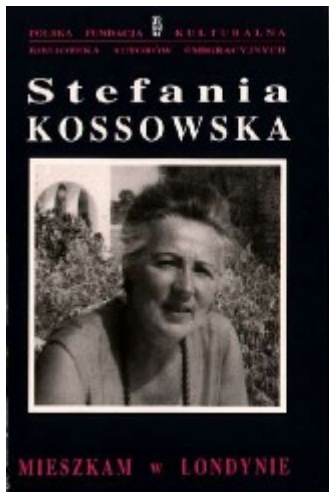


Stefania Kossowska na
rysunku Feliksa
Topolskiego, fot.
Archiwum Emigracji

Współpracowałem z Kossowską dorywczo jeszcze w „Wiadomościach”, a później, częściej, w „Środku Literackiej”, miesięcznym dodatku do londyńskiego „Dziennika Polskiego”. Była to współpraca przyjemna, dająca wielką satysfakcję, gdyż Kossowska potrafiła do końca pisać listy i notatki do swoich współpracowników i pięknie teksty dobierać, składać i przyozdabiać ilustracjami.

Kiedy skończyła 93 lata postanowiła zrezygnować z ulubionego zajęcia i przenieść się do polskiego ośrodka w Kent. Tam ją odwiedziłem w maju 2003 roku. Zawiozła mnie do niej Heide Bujnowska, która bardzo chciała poznać sędziwą redaktorkę.

Zastaliśmy ją w jej jasnym, dwupokojowym mieszkanku na pierwszym piętrze domu tonącego w kwiatach i angielskiej zieleni. Na stole leżały książki i czasopisma polskie, które regularnie czytała. Z dalekich krajów telefonowali przyjaciele.



Pani Stefania wyglądała uroczo. Pełna była życia i energii. Cieszyła się z wizyty i zasypywała pytaniami i informacjami. Kiedy wspomnieliśmy Herberta, nie omieszkała napomknąć, że książka Siedleckiej „Pan od polskiego”, jej zdaniem, nie była dobra, gdyż autorka nie przeprowadziła koniecznej selekcji przytoczonych źródeł. Zapamiętałem, że bardzo chwaliła powieść „Pogranicze” Hanny Świdorskiej. Podzieliła się anegdotą o

Jerzym Pietrkiewiczu, którego poznała jeszcze przed wojną w redakcji „Prosto z mostu”.

Przy pożegnaniu wręczyłem jej moją książkę „Zbliżenia i kontakty”, traktującą głównie o pisarzach i redaktorach emigracji niepodległościowej. Uradowała się i obiecała o niej do mnie napisać.

Już nie napisze, niestety. Zmarła 15 września 2003 roku.



Stefania Kossowska wraz z

Wacławem Iwaniukiem, fot.
Archiwum Emigracji



Stefania Kossowska w redakcji
„Wiadomości”, fot. Archiwum
Emigracji.

*Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto,
2003 r,*

**Irlandka B.G. MacCarthy
(1904-1993) - niezapomniany
pedagog**



B.G. McCarthy

Florian Śmieja

Małe instytucje nie radzą sobie z indywidualnościami, jeśli kapryśny los je nimi obdarzy. To, co mogło stać się wielką szansą i wybiciem na czoło, nieraz bywa zaprzepaszczone i niedostrzegane a często nawet pomniejszane i zwalczane. Taka była dola, moim zdaniem, Bridget G. MacCarthy, profesora irlandzkiego uniwersytetu w Cork, kobiety nieprzeciętnej. Napisała ona wybitną książkę, zanim feministki zorientowały się w nośności jej tematu. Była forpocztą, za którą długo nie było następców.

Jeden z dwu artykułów prasowych, jakie się ukazały w rodzinnym mieście autorki z okazji jej śmierci, pióra dziennikarki Mary Leland, zaczyna się mało życzliwie. "Przez lata pocieszałam się przeświadczeniem, że nie uczęszczając na Uniwersytet w Cork, aby studiować filologię angielską, nie miałam B.G. MacCarthy za profesora."

Przytoczyła następnie bezkrytyczne, negatywne opinie studentów dodając wprawdzie, że łagodniej o niej wyrażaliby się koledzy po fachu, lecz tym niemniej konkludowała, że "jej okres przeminął nieżałowany w przeszłość, nie wyróżniający się osiągnięciami".

Tak ją żegnała rodaczka, która jakby ze zdziwionym niedowierzaniem donosiła o wznowieniu zasadniczego dzieła B.G.MacCarthy "The Female Pen" przytaczając niezrozumiałe pochwały edytorki. No, jeżeli B.G.MacCarthy nie miała osiągnąć, to co dopiero powiedzieć o innych wykładowcach jej uczelni?

Jak to się stało, że książka tak ambitna i na czasie nie została doceniona na świecie i pozostała nieznana w Corku? Tu, sądzę, mamy do czynienia z zazdrością zawodową środowiska nie nadążającego za horyzontami autorki, zemsta przeciętności nad talentem i obojętność wojujących feministek na jej osiągnięcia za odmowę zasilenia ich falangi hałaśliwych aktywistek, za to, że nie szukała sensacji, że była niewyrachowana.

Na jesieni 1947 roku zajechałem do irlandzkiego miasta Cork z gromadką polskich studentów, byłych żołnierzy i cywilów. Byli wśród nich m.in. Wojciech Gniatczyński, Janusz Leszczyński, Ewa Ponińska i Witold Szatkowski, syn Zofii Kossak-Szczuckiej. Zameldowałem się na uniwersytecie, który miał być moją *alma mater* przez trzy lata. Uderzyła mnie niezwykła sytuacja pedagogiczna na uczelni. Na humanistyce cztery katedry filologii łącznie z angielską zajmowały kobiety i to w kraju, który kojarzono z reżimem surowej katolickiej ortodoksji. Choć nie wszystko godne było pochwały, to tak widoczne docenianie intelektu kobiet w owym czasie świadczyło jak najlepiej.

Czterdziestotrzyletnia MacCarthy na katedrze filologii angielskiej znamionowała możliwości, które stały otworem przed młodymi uczonymi.

Urodzona w 1904 roku uzyskawszy licencjat i magisterium w rodzinnym mieście, wyruszyła po doktorat do Cambridge. Napisała rozprawę o Robercie Browningu drukowaną przez London University Press. Natomiast w Cork w 1944 roku wyszła jej książka "The Female Pen" w dwu tomach, historia pisarek języka angielskiego. Młoda Irlandka stała się jedną z wczesnych obrończyni piszących kobiet, choć sprzeciwiała się, by ją zaliczano do feministek, która upominała się o docenienie wkładu kobiet w ewolucję powieści angielskiej i domagała się ich równouprawnienia

jako pisarek. Te okazałe tomy otrzymałem od niej w podarunku, ale wtedy nie potrafiłem ich docenić, a po latach sprezentowałem je z kolei bibliotece Uniwersytetu w Nottingham, gdzie byłem zatrudniony.

Objąwszy stanowisko profesora w Cork, zdobyła sobie sławę postrachu studentów, bo będąc wybitną uczoną wymagającą wiele od siebie, oczekiwała również sporo od innych, spodziewała się rzetelnego umysłowego wysiłku od swoich słuchaczy. Była znakomitą wykładowczynią, choć miała swoje preferencje. Nie znosiła poezji Byrona. Od niej nabrałem słusznego respektu dla wielkiego talentu narracyjnego Jane Austen.

Mieszkająca z swoją ciotką, ambitna, niezamężna kobieta robiła wrażenie osoby nieprzystępnej. Moim zdaniem, była raczej osamotniona, nie znajdowała w studentach partnerów intelektualnej przygody, wrażliwych towarzyszy estetycznych przeżyć. Kiedy wykladała, tylko echo jej głosu rozlegało się w amfiteatrze wypełnionym onieśmielonymi studentami. Owszem, była wymagająca, ale czekała na respons, na znak rozumienia, nie lubiła niemoty. Przestraszeni słuchacze z kolei przyczyniali się do utrwalenia legendy o nieużytej wykładowczyni. Panująca cisza była dla obu stron przykra. Pamiętam, kiedy raz B.G. MacCarthy czytała czy raczej recytowała obszerny wczesny pomat angielskiego poety. Kiedy wreszcie skończyła znużona spytała o komentarz. Zapanowała cisza i wtedy odezwałem się przerywając złowieszcze milczenie "Poemat stanowczo za długi". Przelęknłem się spontaniczności i apodyktyczności mojego odezwania się, ale pani profesor z łaskawym uśmiechem przytaknęła i ku zdumieniu słuchaczy zgodziła się ze mną "Niestety. Cierpi na dłużyzny".

Deklarując się być miłośniczką prozy angielskiej, sama władała znakomitym, klarownym stylem pełnym humoru i nie stroniącym od ciętych, dosadnych sformułowań. I tak, mówiąc o wykształceniu odebranych przez kobiety w czasach patriarchalnego traktowania ich przez mężczyzn, określiła je jako wykształcenie, które kwalifikowało je na żony i matki w tym świecie a na święte w tym lub przyszłym świecie. Widać, że imponowały jej odwaga i szacunek dla siebie bohaterki powieści Jane Austen, ale nie wahała się określić głupiej dziewczyny "malutkim bezmyślnym zwierzątkiem" i broniła lekkiego potraktowania jej przez autorkę słowami "dlaczego używać dwuręcznego miecza, aby ściąć główkę motyla"? Na

postawie podobnych ocen stał się jasny ideał B.G. MacCarthy - podziw dla nieokiełzanego ducha i odważnego serca.

Nieco później zaprosiła mnie do swojego domu, w którym mieszkała z ciotką. Zaczęłam bywać częściej, gdyż zaproponowała mi dawanie jej lekcji języka polskiego, bo zapragnęła się go nauczyć.

Nauka wymagała dużego wysiłku obu stron. Obowiązki uczennicy pedagogiczne i administracyjne nie zostawiały wiele czasu, nauczyciel zaś nie miał kwalifikacji i praktyki, a do tego pomoce były skromne. Nie był dostępny nawet podręcznik Józefa Teslara ze słynnymi zdaniami takimi jak "Ordynans daje pić karemu koniowi pana pułkownika". Ale lekcje się odbywały, a uczennica na improwizowanym materiale poznawała powoli zawilóści języka polskiego. Wdzięczna nie zapomniała potem o moim wysiłku, gdyż wielkodusznie w liście polecającym napisała: "Biorąc pod uwagę ograniczone zdolności jego studentów (oprócz niej lekcje brał również profesor filologii irlandzkiej), dobrze świadczy o Florianie Śmieji, że doprowadził nas do momentu pozwalającego nam z pewnym wysiłkiem czytać po polsku i że zaspakajał nasze zaciekawienie polską literaturą, tak że jesteśmy zainteresowani nauczyć się tego trudnego języka, by dotrzeć do estetycznych wartości, o których mówi tak elokwentnie".

Zagadnęła mnie kiedyś, czy domyślałam się powodu, dla którego postanowiła nauczyć się polskiego. Tłumaczyła, że to był jej gest przyjaźni i respektu wobec Polaków, którzy nagle po zakończeniu się drugiej wojny światowej pojawili się na irlandzkich uniwersytetach. Podjęła naukę tego trudnego języka i kultury polskiej, o które z takim uporem walczyli przez dwa wieki w imię braterstwa i ludzkiej solidarności. Doceniała naszą postawę i emigracyjną sytuację, a także wysiłki ducha jednego z narodów mniej szczęśliwych, upominających się o godne miejsce na świecie.

B.G. MacCarthy była gorącą patriotką. Za jej życia wybuchło krwawe powstanie w Dublinie, z pobudek patriotycznych, burmistrz Corku umarł śmiercią głodową, ale w końcu większa część wyspy uzyskała samorząd i ogłosiła niezależną republikę.

Jako pedagog nie miała złudzeń, co do zacofania intelektualnego swojego narodu na skutek długoletniej niewoli i wiekowej dominacji i dyskryminacji przez Anglosasów.

Swojej ostrej krytyki nie kryła nawet kiedy w roli egzaminatora przyjechał z Oksfordu profesor J.R.R.Tolkien, późniejszy autor "Władcy pierścieni". Gdy skarżył się na mizerny poziom studentów irlandzkich, bez wahania wskazała Anglików jako właściwych sprawców takiego stanu rzeczy.

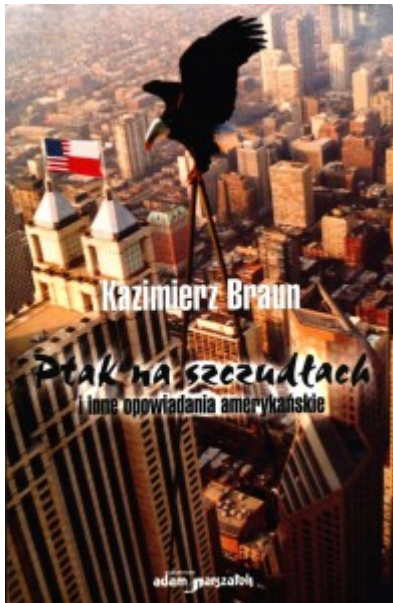
Kiedy wyjeżdżałem z Cork, bo zaofiarowano mi asystenturę na Uniwersytecie Londyńskim, na drogę wręczyła mi swoją pierwszą skórzaną teczkę, z którą zaczęła karierę nauczycielską. Długo mi służyła.

Rozeszły się nasze drogi, nim mogłem właściwie ocenić walory tej nieprzeciętnej osoby. Po nieudanym małżeństwie, które zaryzykowała będąc w średnim wieku, nagle enigmatycznie zrezygnowała z kariery akademickiej, której w prowincjonalnym uniwersytecie rodzinnego miasta była niewątpliwie wielką ozdobą. Zmarła w 1993 roku. Ponoć miała oświadczyć, że miała wszystkiego dość.

Myśl, że ja także w jakimś stopniu mogłem przyczynić się do jej niespodziewanej, dramatycznej decyzji, dziś napawa mnie smutkiem.

Zazna ochłody

Kazimierz Braun



Strzeliła furtka do sadu. Zadudniły kroki po śnieżce.
Biegający wołał, z trudem łapiąc oddech.

„Proszę księdza dobrodzieja, stary Zając spadł z rusztowania!”

Postać w słomianym kapeluszu, pochylona nad otwartym ulem wyprostowała się w chmurze kłębiących się wokół niej pszczoł.

„Cicho mi w pasiece!” Powiedział niegłęboko ksiądz do wyrostka, który zatrzymał się w bezpiecznej odległości. „Co się stało?”

„Stary Zając zleciał z rusztowania. Co go ruszą to wrzeszczy. A jak leży to ledwie dycha”.

„Zając, murarz?”

„Majster. On właśnie. Niech dobrodziej bieżą”.

„Zaraz przyjdę. Po doktora posłali?”

„Poleciał Bolek od Wnuków, ale mówią, że Zającowi to księdza nie doctora potrzeba”.

„Pomóż mi daszek założyć”, powiedział ksiądz. „Nie można tak ula zostawić”. Schylił się i postawił na ziemi trzymany dotąd w ręce garnek, z którego dobywał się dym.

„Kiedy mnie pszczoły pożrą...”

„Chodź mi tu zaraz, strachoput się znalazł. Jak cię która użądli to tylko na zdrowie. Zdjął obszerne pszczelarskie rękawice i rzucił chłopcu.

„Włóż rękawice. Mnie żadna nie użądli”.

Chłopak pospiesznie sięgnął w trawę po rękawice, włożył je i podsunął się niepewnie do ula. Razem z księdzem ujął drewniany daszek leżący na ziemi i przeniósł go nad kłębiący się od pszczoł ciemny otwór.

„Użarła mnie!” Wrzasnął nagle, ale nie wypuścił daszka.

„Cicho” skarcił go ksiądz. „Powoli daszek osadzaj, żebyś której nie przyciął”.

Zakładali daszek ostrożnie. Ksiądz ruchem pewnym i dokładnym, młody pomocnik dłońmi drżącymi od strachu, szyję wtulając w kark, potrząsając głową nerwowo i starając się chodzić w ten sposób odpędzić świdrujące mu słuch pszczoły.

„Znowu!” Zapiszczał.

Gdy tylko daszek spoczął na ulu, chłopak runął w kierunku furtki, rozcierając kark i ucho. Ksiądz ogarnął uważnym spojrzeniem ul. Był dobrze zamknięty. Sutannę, którą miał zatknął za pasek, opuścił na białe portki. Zdjął słomiany kapelusz i otarł pot z czoła rękawem sutanny. Było bardzo gorąco, mimo popołudniowej pory. Słońce stało wysoko na czystym niebie lipcowego Teksasu. Wziął garnek z kurzem i poszedł szybkim krokiem ku plebani.

Był to dom duży, murowany, rozłożysty. Stał na pochyłości pagórka, nieco powyżej pasieki i sadu. Ponad plebanią, na łagodnym wzgórzu wyrastały wzniesione wysoko mury kościoła. Budowla była okazała, z szeroką nawą i potężną wieżą, jeszcze bez hełmu. Mury były obstawione gęsto rusztowaniami. Jasność drewna wysokich słupów rusztowań i przecinających je pomostów z desek tknęła gęstą a lekką sieć, w którą całość konstrukcji była otulona, podobna raczej do ogromnego okrętu budowanego w stoczni albo do stosu drewna ułożonego na gigantyczne ognisko, przez który, jak już naniecony ogień, prześwitywała świeża cegła murów.

Większy będzie od aryjskiego, pomyślał ksiądz z dumą. Zobaczy ten biskup irlandzki, że Polacy nie gorsi niż jego Ajrysze. I szkoła przy kościele stanie. Też większa od

aryjskiej. na chwałę Boga i ojczyzny imienia. Dzieci po polsku uczyć się będą, jak w kraju.

Kościół, wieńcząc wzgórze, stał ponad ogromnym polem dojrzałej, lekko falującej, złocistej pszenicy, za którym dopiero daleko widać było ciąg domków, dalej hale i kominy fabryki, a jeszcze dalej wieżę irlandzkiej bazyliki. Specjalnie wybrali to wzgórze po drugiej stronie miasteczka, aby się odróżnić, od Ajryszów odsunąć, wyżej od nich kościół postawić i ustanowić własny punkt środkowy, główny, zborny dla krainy, przyciągający oko i myśl, skupiający potrzeby: tu mieli przynosić swoje strachy, wypłakiwać upokorzenia, koić tęsknoty, chwalić Boga za łaski i prosić o opiekę. Tu przychodzić na msze i sumy, różańce i procesje, dzieci posyłać do szkoły, chrzcic się i żenić, bierzmować i grzebać. Ale pogrzebu, odkąd przyjechali całą wsią w te strony, jeszcze nie było.

Ksiądz wszedł szybkim krokiem na ganek plebani. Zaczerpnął parę razy ciepłej wody z cebrzyka stojącego pod rynną i zalał węgle w garnku z kurzem. Odstawił go na schodki, gdzie leżały porzucone przez chłopca rękawice. Wszedł do środka. Uderzył go stojący zaduch i upał. Musiał przyzwyczaić chwilę oczy do zmroku za zaciągniętymi grubymi zasłonami. Z pokoju, który służył za tymczasową zakrystię, wziął stulę z szuflady i - po krótkim wahaniu - również skórzany sakwojaż, jakby lekarski, w którym miał przygotowane oleje święte, buteleczkę z wodą święconą i kropidło, świecę gromniczną i zapałki, a także komżę i „Sakramentarz”. Jeszcze się raz zastanowił, wziął czysty korporał z szafki i przeszedł do drugiej, większej izby, która była tymczasową kaplicą, przyklęknął przed małym ołtarzem, uchylił drzwiczki tabernaculum, ładnie odrobionego w lipowym drewnie, wyciągnął kielich z komunikantami, jeden z nich położył na korporale i zawinął. Schował kielich, przyklęknął, wrócił do zakrystii. Włożył korporał z wiatykiem do walizeczki. Wyszedł na ganek. Uderzyło go słońce. Zmrużył oczy i kłusem skierował się w stronę murów kościoła.

Gromada starszych i młodszych mężczyzn w koszulach z zakasnymi rękawami tworzyła nieregularny krąg. Słyszając kroki księdza, rozstąpili się bez słowa. Na spalonej ziemi, w drobnym pyłe szarego piasku i odłamkach cegły leżał na plecach człowiek. Jego piersi unosiły się spazmatycznym, nieregularnym oddechem, bosa stopy leżały nieruchomo na piasku, a palce dłoni drapały kurczowo ziemię. Głowę

trzymał sztywno, na wyciągniętej szyi. Oczy miał zamknięte, a zęby zaciśnięte. Jego wargi, na których były ziarenka piasku, poruszały się rytmicznie i dochodził z nich niezrozumiały szept. W jego rzadkich, siwych włosach również był piasek, na policzkach i czole, białe plamy murarskiej zaprawy.

„Bardzo jest kiepski, proszę jegomości”, powiedział najbliższy stojący mężczyzna. „Chyba się przetrącił. Jak spadł, tośmy go chcieli pozbierać, ale nie dał się ruszać. Tylkośmy go na plecy przekręcili, żeby się nie zadławił”.

„Jak to się stało?” Zapytał półgłosem ksiądz.

„Poślizgnął się na rozlanej zaprawie. Sam musiał kielnią nachlapać. Stary jest, niedowidzi, a rwie się do roboty, w domu by siedział. Zleciał z rusztowania jak worek, sześć pięt”. Powiedział ten sam mężczyzna.

Ksiądz dał mu sakwojaż do potrzymania i przykleknął przy rannym. Ostrożnie dotknął jego czoła. Było spocone, ale chłodne. Pod wpływem dotknięcia leżący otworzył oczy.

„Ksiądz proboszcz...” Powiedział z trudem. „Chcieliśmy dziś pod dach podciągnąć. A tylko przerwa w robocie przeze mnie...”

„Gdzie was boli, Łukaszu?” Zapytał ksiądz.

„W środku”. wymamrotał leżący wydymając wargi i kłapiąc zębami, które zaraz zacisnął z powrotem. „A najwięcej w krzyżu”. Dodał. „Ale jak tak leżę na plecach i się nie ruszam, to idzie znieść”.

Widać było, że stara się utrzymać swoje ciało jakby na ostrej kalenicy, z obu stron której czyhał na niego ból. Raz po raz obsuwał się to na jedną, to na drugą stronę tej krawędzi i wtedy wstrząsał nim dreszcz, mięśnie napinały się, zaciskały się zęby, policzki zaczynały drgać i oddech dobywający się przez nos stawał się pospieszny. Ksiądz ostrożnie ujął jedną z jego nóg obiema rękami za kostkę i uniósł ją nieco.

„To was boli?”

„Nie”, powiedział zduszonym głosem ranny.

Ksiądz ponowił badanie, unosząc drugą nogę: „A to?”

„Nie...”

„Dźwignąć się możecie? Spróbujcie”. Ksiądz podetknął leżącemu rękę pod kark. Tamten zebrał się w sobie, napiął, uniósł głowę i nagle jak ugodzony padł znów na wznak, uderzając głową w piasek, aż pył się podniósł.

„Leżcie, leżcie sobie...” Powiedział ksiądz.

Zrozumiał, że stary murarz jest sparaliżowany od pasa w dół i musi mieć złamany kręgosłup. Znów dotknął jego czoła. Było zimne. Rozpiął leżącemu koszulę i dotknął piersi. Była mokra od potu, ale też zimna. Ksiądz pomyślał, że to zimno ciała może zwiastować rychły koniec.

„Posłaliście po doktora? Tak?” Zapytał stojących.

„Poleciał Bolek”.

„A po synów do fabryki?”

„Właśnie bieżą przez pole”, powiedział ktoś inny. Ksiądz spojrział w stronę osiedla i zobaczył daleko na miedzy dwie głowy biegnących, ledwo wynurzające się z wysokiej pszenicy. W pewnej odległości za nimi, nieco wolniej, poruszały się inne głowy, zapewne kobiet, które musiały zostać również zaalarmowane. Spojrział znów na leżącego na ziemi człowieka.

Chcieli go zostawić w kraju i starą też, a wziąć tylko synów. Ale się uparł, że pojedzie, jak cała wieś, to cała, wszyscy, co do jednego, nie biorąc tylko niedołęgów, kalek, przygłupów i starców nad grobem, a on był krzepki jeszcze, umiętny i bardzo robotny, choć trochę niedowidział. Ksiądz się wreszcie zgodził, bo Łukasz Zając był murarzem sławnym na całą okolicę i można było liczyć, że się bardzo przyda za morzem. Przy budowie kościoła, mimo kłopotów z oczami, nie folgował i pierwszy rwał z rusztowania na rusztowanie, coraz wyżej. Zawsze na procesjach w rodzinnej wsi kroczył na przedzie niosąc krzyż, to i w Corpus Christi, gdzie schodzili ze statku na ląd też poszedł pierwszy i niósł na przedzie całej struchlałej gromady wielki krzyż parafialny. Śpiewał najgłośniej ze wszystkich, głośniej nawet od

organisty, na całe gardło wydzierał „Serdeczna matko”, aż niosło po porcie, tym śpiewem zagłuszając okropny strach, gdy po raz pierwszy stopy stawiali na tej ziemi obcej.

Ksiądz pojechał do Ameryki wcześniej, żeby wybrać miejsce osiedlenia, przygotować nadania ziemi, wybrać drogę ku niej, zgromadzić żywność na pierwsze tygodnie. Witając ich w porcie konno, z krucyfiksem w uniesionej wysoko dłoni, a oni szli ku niemu ze statku, po trapie, śpiewając, niosąc pługi, cepy, kosy, piły, kielnie i inny dostatek, wszystko, jak im wziąć do nowej ziemi nakazał. Pierwszy kroczył Zając, tak go zapamiętał: mimo gorąca, w białym, ogromnym, odświętnym kożuchu, z otwartą w śpiewie gębą, z wielkim parafialnym krzyżem, wyciągniętym przed siebie, jak tarcza. I zbliżały się ku sobie te dwa krzyże, jeden niesiony przez Zająca, drugi w dłoni księdza na koniu.

Ksiądz pomyślał wtedy, że oto krzyż w kraju idzie naprzeciw krzyża emigracji. Który cięższy?

A gromada doszła do niego, patrzył na nich z wysoka, ich twarze były wzniesione w górę, oczy pałające, wciąż śpiewali potężnie, pierwszy Zając klęknął i cała parafia za nim, kilkaset ludzi, gruchnęli na kolana. Skończyli śpiew i zamilkli. Nastąpiła wielka cisza. A on wzniósł krucyfiks jeszcze wyżej i pobłogosławił ich w tej ciszy szeroko, zamaszyście.

„W imię Jezusa Chrystusa i Panny Maryi, Najświętszej Matki Jego, witajcie!” Zakrzyknął.

W gromadzie nagle powstał gwar, odezwały się płacze, ludzie podrywali się z klęczek, garnąc się do niego i tłocząc, aż koń zaczął parskać i stawać dęba pod natłokiem, musiał go mocno cugłami poskramiać. Zatkanął krucyfiks za pas i ręce do nich wyciągał, które całowali, i buty jego i sutannę. Był dla nich jedynym swojakiem na obczyźnie.

„Odstąpcie”, powiedział ksiądz do gromady stojącej nad rannym. „Muszę go wypowiadać”.

Zdjął słomiany kapelusz i odłożył go na ziemię. Narzucił stulę na szyję. Schylił się

niżej ku twarzy rannego. Ludzie bez słowa poszerzyli nieco krąg, ale nadal stali nieopodal wpatrzeni ponuro w leżącego i w księdza, który klęknął teraz na oba kolana, pochylił się ku głowie starego Łukasza i coś mu szeptał do ucha. Dwaj młodzieńcy, synowie, zdyszani dobiegli do kręgu, chcieli się przedrzeć do leżącego, ale inni ich powstrzymali. zaczęły nadchodzić kobiety. Rozległy się ich płacze i głośne uwagi - „Stary mógł się nie pchać na rusztowanie tak wysoko” - „Nie poradzisz, ale on musiał pokazać jak się muruje” - „Murarz to był dobry, nie odmówić” - „Znał się na rzemiośle” - „Spadł, mówię wam, jak ten worek z wysokości” - „Na chwałę Bożą chciał się przyczynić” - „Nie stanęłaby ta budowla bez niego” - „Ma za swoje wynoszenie się” - „Jakie tam wynoszenie, majster był zawołany” - „I na co mu to teraz, w prochu se leży” - „Nawet w ziemi swojej rodzonej świętej nie spocznie”.

Stopniowo krąg się pogrubiał, pojawiały się dzieci, przybywało kobiet, które dowiadując się o wypadku, biegły pod kościół. Znali się przecież wszyscy w tej wsi, a teraz robotniczej osadzie, ale dla nich to była wciąż polska wieś. Budowali kościół wspólnie, młodzi i starzy, mężczyźni i wyrostki, w ciągu długich letnich miesięcy pracując cały dzień bez ustanku, bo fabryka miała dwie zmiany i kiedy pierwsza zmiana szła do hal, to druga do kościoła, kończyła tylko trochę wcześniej, żeby coś zjeść i pójść do fabryki na drugą zmianę, a już pierwsza zmiana przychodziła prosto z bramy fabryki na budowę kościoła, kobiety i dziewczyny donosiły jedzenie w dwójakach, w koszykach, picie w butelkach. I tak szło od szóstej rano do dziesiątej wieczorem, na dwie zmiany. Kościół rósł jak na drożdżach, strzelał w górę każdego dnia. Teraz najwięcej ludzi pracowało przy murarce i kamieniarce, ale równocześnie już stolarze robili drzwi i futryny, okna i ramy okienne, ławki i ołtarze. Kowale kuli świeczniki, zamki i skoble. Dekarze szykowali krokwie dachowe i gonty. Kobiety szyły obrusy na ołtarze i chorągwie; tylko trzy przywieźli ze sobą przez morze. Matki Boskiej Częstochowskiej, te poświęconą świętemu Florianowi, patronowi od ognia, bo na nowej ziemi, gdzie miały stanąć ich nowe domy, tego się najbardziej chcieli ustrzec, a trzecia ze świętym Krzysztofem, którego wcześniej nie znali, ale tak im ksiądz nakazał, aby ich święty Krzysztof bezpiecznie przez wodę przeprawił, co się też stało. A tu miały stanąć w kościele chorągwie każdego cechu, każdego bractwa, w każdej ławce zatknięte i na procesje, to miał ich cały las iść i skrzydłami ich osłonić jak proporce wojska niebieskiego albo jak polska starodawna husaria, w tym

kraju obcym, tak ich pouczał proboszcz. Feretrony też od razu były w robocie, obrazy do nich już zamówione u słynnego artysty rodaka, w samy, Pittsburgu, a figury u innego w Filadelfii. Obraz Panny Maryi Pocieszenia, patronki parafii, przywieźli z kraju. Trochę mały będzie jak na wymiar wielkiego ołtarza, ale swój za to. Ogromną, gruba ramę już mu rzeźbią, a nie pożałują na jej pozłotę. Płacą na ten kościół, dom w dom, po piątej części tygodniówki każdego robotnika, dużo, to są straszne pieniądze, ale sama tygodniówka jest tak ogromnym bogactwem, jakiego nikt z nich wcześniej nigdy na oczy nie widział, a nawet nie słyszał, żeby kto tyle zarabiał za pracę rąk swoich, więc na chwałę Bożą niech to idzie w dziękczynieniu za to wielkie szczęście, które ich tu spotkało, choć pracują w fabryce bardzo ciężko i mężczyźni i niedorostki, ale wszyscy, najbiedniejsi nawet, już w swoich domkach mieszkają, gdzieżby tam mieli skącić na dom Boży.

„Żałujesz?” Zapytał ksiądz Zająca. „Żałujesz za wszystko?”

„Zimno mi” Wymamrotał stary.

„Najpierw powiedz, że żałujesz”, zgromił go ksiądz głośno.

„Zimno bardzo”.

„Żałuj za grzechy choć po cichu, a ja ci udzielę rozgrzeszenia”, zrezygnował kapłan.

„Ego te absolvo...” zaczął mówić prędko, widząc jak twarz leżącego w prochu człowieka szarzeje.

„Proszę dobrodzieja! Dochtor pojechał do porodu na wieście! Nie wróci aż na iwning!” Usłyszał drącego się już z daleka Bolka.

„Cicho dźboki, spowiada się teraz”, zgromił go któryś z gospodarzy i chłopak stanął nagle bezradnie z tyłu kręgu, a potem zaczął się powoli przeciskać do pierwszego rzędu, dysząc głośno.

Ksiądz wstał. „Niech podejną synowie się pożegnać”, nakazał. „A wszyscy na kolana”. Tłum gruchnął na kolana, a jednocześnie wydobyli się zeń dwaj młodzi robotnicy w poplamionych smarem kombinezonach, ociekający potem. Jasne czupryny spadały im na oczy. Podchodząc wycierali ręce o spodnie. Przyklękli.

„Ojciec”, powiedział starszy, „ojciec pobłogosławcie”. Umierający nie zareagował. Grzebał zakrzywionymi palcami ziemię. W tłumie rozległ się szloch. Obaj młodzi ludzie schylili się do samej ziemi i jeden po drugim ucałowali prawą dłoń ruchliwą, obsypana piaskiem. Pozostali na klęczkach. Ksiądz położył obu dłonie na głowach. „Ja was błogosławię”, powiedział łagodnie. „A matka tam z nieba na was spogląda”. Znow rozległ się płacz z kręgu ludzi.

„Sakwojaż” Zawołał głośno ksiądz. Mężczyzna trzymający do tej pory walizeczkę podbiegł skwapliwie. Ksiądz otworzył ją i wyjął korporał. Wydobył z niego wiatyk. „Ecce Agnus Dei, ecce qui tollit peccata mundi...” Przeżegnał komunikantem leżącego i zbliżył go do jego ust. Ale ranny miał zaciśnięte zęby. „Otwórzcie gębę, stary”, powiedział ksiądz głośno, ale to nie poskutkowało. „Corpus Domini nostri Jesu Christi custodiat animam tuam in vitam aeternam”. Kontynuował ksiądz, ale ranny nie zareagował. „Nie ma kto noża?” Zapytał ksiądz.

Obaj synowie wyciągnęli natychmiast z kieszeni portek koziki. Ksiądz położył korporał na piersiach leżącego, a na nim opłatek. Wziął nóż od jednego z chłopców, otworzył ostrze, ostrożnie wsunął je pomiędzy zęby starego i przez utworzoną szczelinę wsunął opłatek. Wycofał ostrze. Zęby szczęknęły. Oddał nóż. Złożył korporał do sekwojaża i sięgnął po oleje święte. Mruczając modlitwy, pośpiesznie namaszczał oczy, uszy, nozdrza, ręce, nogi i czoło leżącego, który nagle zakrztusił się, wzdrygnął i zaczął rzucać głową w obie strony, więc ksiądz przytrzymał go za brodę, aby opłatek broń Boże, nie wyleciał mu z ust. Ranny chwilę szamotał się, a potem ruchy jego spowolniały i ciało jakby zelżało, a rysy się z wolna wygładziły. „Mówcie: Ojcze nasz”, nakazał ksiądz gromadzie i sam zaczął głośno, a ludzie dołączyli chórem. Rozległy się znow kroki kogoś biegnącego. Gdy „Ojcze nasz” miało się ku końcowi, odezwał się głos:

„Urwałem się z plantu, proszę dobrodzieja, może coś pomóc?” Ksiądz rozpoznał głos organisty. Nie odpowiedział, tylko od razu zaśpiewał: „ Salvum fac servum tuum”.

„Deus meus, speratem in te”, odpowiedział śpiewem organista.

„Mitte ei, Domine, auxilium de sancto”.

„Et de Sion tuere eum”.

„Esto ei, Domine, turris fortitudinis”, śpiewał ksiądz.

„A facie inimici”, dialogował organista.

Tak doszli do końcowego „Dominus vobiscum” i cała gromada odpowiedziała chórem „Et cum spiritu tuo”.

Ksiądz wrócił do cichej modlitwy. Synowie Zająca klęczeli.

„Śpiewajcie: Serdeczna Matko”, nakazał ksiądz po chwili.

Organista zaintonował. zabrzmiała pieśń potężnie.

Ksiądz już się nie spieszył. Powoli robił znaki i półgłosem mówił modlitwy. Wyciągnął z torby gromnicę. Podał ją jednemu z synów. Drugiemu dał zapalkę, ten zaś potarł ją o podeszwę, zaniecił i osłaniając dłonią płomień zapalił świecę. Nie było wiatru. Knot palił się równo, prawie zresztą niewidoczny w ostrym słońcu. teraz ksiądz wyjął z sakwojaża butelkę z wodą święconą i kropidło. Odkorkował uważnie i polał lekko kropidło wodą. Odłożył butelkę i pokropił umierającego, a potem zamachnął się znacząc znaki krzyża nad tłumem, kropiąc na wszystkie cztery strony świata.

Nie doczekał stary poświęcenia kościoła, myśli ksiądz. Stara zmarła na statku i musieli ją do wody rzucić, a on pierwszy tu umiera ze wszystkich. Dwóch synów zostaje sierotami. Robotnicy, dadzą sobie radę. Trzeba będzie cmentarz wytyczyć. Kto z nich następny? Pomrą na obcej ziemi jedno po drugim. Wszyscy. Panie Boże, wszyscy, jak tutaj stoją. Mężczyźni i kobiety. Dzieci i niemowlęta. Tu ich przywiodłem - grzebać? Ja sam też już nigdy nie wrócę. Wola boska. Gruntu wokół kościoła nie brakuje, tylko z której strony cmentarz ma być? Od północy oczywiście. Choć i tak nigdzie cienia za grosz i wszędzie słońce jakby w zenicie przez cały dzień. No, to tylko w lecie. Ale długie to lato. Gorące. jakie tam gorące? Upalne. Chryste Panie, upalne? Nie upał to, ale spiekota, od świtu do zachodu słońca. Od marca do listopada. A jak deszcz lać zacznie, to potop od razu. Śniegu nie ma na lekarstwo. Huragany straszliwe uderzają i domy nawet w powietrze porywają i ludzi zabijają. Matko Boża, gdzie ja tych ludzi wywiodłem? Z domu niewoli, odpowiedział sam sobie. Z domu nędzy, dodał. I to nie jak Mojżesz, który ich wywiódł z Egiptu, gdzie mieli pełno mięsiwa w garnkach i jarzyn w bród i owoców, na pustynię, bez wody i

jadła, ale ja wywiodłem ich właśnie od garnków pustych i głodu, i dzieci z głodu na przednówku umierających, z ugorów, zagonków, nędzy, walących się chałup i rozpadających się czworaków, do tego kraju mlekiem i miodem płynącego, gdzie ziarna pszeniczne jak wiśnie, a wiśnie jak śliwy, pomidory jak pieści, a jeszcze do tego brzoskwinie, dynie, melony, kawony, winogrona; i mięsiwo, mięso nawet i co tydzień. Pszczoły dobrze tu idą. Wywiodłem ich od pracy za prawie darmo i od daremnego szukania pracy, a przywiodłem ich do roboty w tej fabryce, gdzie porządek i pieniądz grają w parze i co tydzień wypłatę każdy dostaje, jak bogacz jaki. No, jeśli praca jest. Bo gdy zwalniają na lejof, to bieda natychmiast zagląda w oczy i strach wkrada się w serca. Raz, gdy przyszło straszne tornado i zniosło dachy z połowy domów, a fabryka akurat zaczęła zwalniać, to ludzie gniew swój zwrócili przeciw księdzu i pokarać go za te nieszczęścia chcieli, bo przecież on ich przywabił. Musiał w góry uciekać i kryć się po jarach. Ale gniew przeszedł, fabryka znów robotników przyjęła, domy odbudowano, pokój wrócił do serc. To i kościół prawie pod dach śmiga z tych dolarów, a plebania pół roku już stoi i ksiądz się też pożywi, na co zasługuje. Żeby tak tylko trochę cienia. Upał aż zatyka. Rozejrzył się. Dookoła murów kościoła widoczne były na pagórku sadzonki małych lipiek. Wyciągną się, pomyślał. Pszczoły będą miały pożytek.

Brzmiała pieśń. Ksiądz dołączył się grzmiącym głosem: „Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy.....” Gdy skończyli powiedział:

„Niech go położą na tych drzwiach do kościoła, co to już gotowe do osadzenia, w nawie pod ścianą stoją i niech go do domu zanosą. Tam go obmyjecie i ubierzecie. A stolarze niech zaraz do zrobienia katafalku ręce przyłożą. Bo go jeszcze nie mamy. Solidny ma być, aby nie na ten raz jeden posłużył. Zaraz się brać do roboty. I pomalować. Czarna farba i srebrna musi się znaleźć u Ajrysza w mieście, niech który skoczy, na kreskę wziąć, a ja zapłacę. I krzyż nagrobny wystrugać. Tabliczkę wypisać równo, żył lat tyle a tyle, synowie wiedzą, zmarł Roku Pańskiego 1855. Katafalk przed wejściem do kościoła ustawić. To pierwszy pogrzeb w naszej parafii na nowej ziemi i uroczysty będzie. Jak tylko druga zmiana wyjdzie z fabryki, to go przynieść z powrotem. W nocy go pochowamy o chłodzie. Przez jutro by nie przetrzymał. Gromnice wszyscy przynieść. Grób wykopać pod tamta lipką małą, od północy. Kiedyś go ocieni. Zazna ochłody”.

„Jakże to ta? W obcej ziemi grzebać?” Odezwał się jakiś kobiecy głos z gromady.

Ksiądz spojrział surowo i już chciał zgromić kobietę, którą wypatrzył w tłumie. Ale przeniósł wzrok dalej na wielki łąn pszenicy, na linie domów i kominy fabryki poza nią, powiódł wzrokiem po wysokich murach kościoła i po strzelistych rusztowaniach, popatrzył na niebo ogromne, wciąż bezchmurne, na daleki, otwarty horyzont, a potem znowu bliżej na wydeptany i wyjeżdżony pył wokół budowy. Wzrok mu złagodniał.

„Teraz to już nasza ziemia”, powiedział spokojnie, po gospodarsku. „Nasza. Tu leżeć będzie wśród swoich”.

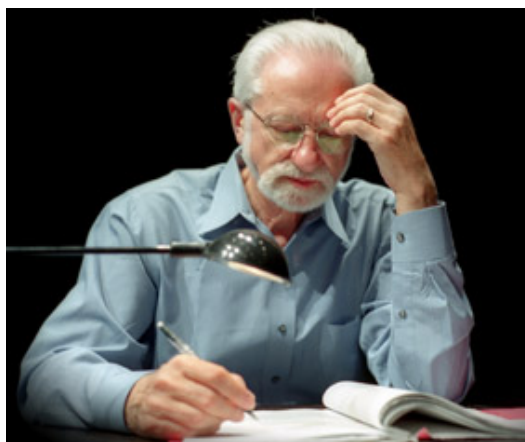
Kazimierz Braun: Ptak na szczudłach i inne opowiadania amerykańskie, wyd. Adam Marszałek, Toruń 2003.



Jan Stanisławski, Wieś- Dziewanna, olej na desce 31,5 x 41 cm, własność prywatna.

Opowiadanie ukazało się w „Liscie oceanicznym”, dodatku kulturalnym do „Gazety” z Torotno w 2003 r.

Dogmat wierności



Kazimierz Braun

Kilka myśli o prozie Kazimierza Brauna

Emil Biela

Można pobożnie żartować, że Mojżesz, odbierając od Boga dekalog na górze Synaj, nie dopilnował, aby umieszczone tam było również przykazanie wierności. Gdyby ludzie w swoim życiu byli mu podporządkowani i przestrzegali go, byłoby na tym ułomnym świecie nieco inaczej. Mniej byłoby tragedii, fałszu, wypierania się przekonań, pogoni za złudną karierą. Być wiernym sobie. Jakież to trudne. Najwyższą pochwałą jest stwierdzenie: „on jest zawsze ten sam - mimo upływu czasu!” To chyba wartościowy, niewidzialny order, który może zdobyć człowiek przez lata swojego życia.

Być wiernym...- to omal bohaterstwo. Niekiedy wymaga to osamotnionej odwagi, czasem nawet wyjazdu z ojczystego kraju. Cyprian Kamil Norwid w „Epimemdesie” z gorzką, filozoficzną ironią pisze:

Syn wierny niewierny historii zamętu,

Syn wierny społeczeństwa, co nie było warte

Wierności! - ta już bowiem stawiała się zdradą...

Ileż bolesnej prawdy jest w tej charakterystyce człowieka, który chciał być wiernym synem Ojczyzny. Polacy, jak nikt inny na świecie, potrafią być wierni niepisanemu przykazaniu wierności. Stefan Żeromski w „Dumie o hetmanie” podnosi tę zaletę, pisząc: „Bywa tu w Polsce, zamurowana dozogonna wierność dla przegranej sprawy, nieznana nigdzie na świata obszarze, uniesienie prawego serca, które jedynie w wielkim czynie widać...” Wierność tworzona jest każdego dnia. Niewielu jest pisarzy, którzy przez całe swe życie artystyczne byli pod tym względem nieskazitelni. Nawet naszym noblistom wytyka się - i słusznie - pogwałcenie kiedyś przykazania wierności, kiedy wypowiedali z przekonaniem to, o czym dzisiaj by milczeli lub twierdzili coś wręcz odwrotnego. Z trudem - nawet miłośni - usprawiedliwiają takie postępowanie.

A można być wiernym nieskazitelnie. Do grona takich ludzi należy bez wątpienia Kazimierz Braun, którego bogata twórczość teatralna, prozatorska i dramaturgiczna znana jest zarówno w Polsce, jak i w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszka on i pracuje od prawie dwudziestu lat. W swoich powieściach i tomach opowiadań Kazimierz Braun tworzy niejako dogmat wierności, udowadniając, na przykładzie skomplikowanych losów swych bohaterów, tezę, że kto przeciwstawia się temu dogmatowi, łamie go, nie uznaje zasady wierności - ma zafałszowane i w finale tragiczne życie.

Najdobitniej jest to udokumentowane w powieści dokumentalnej pt. „Pomnik”, wydanej w roku 1989 przez paryski Instytut Literacki w Bibliotece „Kultury”. W książce tej Kazimierz Braun udowodnił, że jest odważnym pisarzem politycznym. Na kartach „Pomnika” ukazał anatomię polskiego komunizmu z czasów panowania Edwarda Gierka. Braunowska sekcja zwłok ukazuje wnętrze totalitaryzmu nad

Wisłą. Zenon Bugdał, doradca Gierka, wiceprezes telekomitetu, partyjny rzeźbiarz, tworzący swą karierę na pomysle budowy pomnika Powstania Warszawskiego, który miał stanąć na środku Placu Defilad i wysokością przewyższyć Pałac Kultury, ponosi totalną klęskę. Opierając się na kłamstwach prosi o azyl polityczny w Ameryce i ... otrzymuje go. Na ruinach egoizmu, mogła stanąć tylko ruina człowieka, który nie znał zasady wierności. W odautorskich zdaniach „Pomnika” czytamy, że Zenon Bugdał nie rozumiał swego własnego życia. Nie umiał dokonać wyboru, a miał do tego wielokrotnie okazję. Jest w „Pomniku” symboliczna scena, przypominająca w pewnym stopniu „Wesele” Wyspiańskiego. Na wystawie w Moskwie miała znaleźć się jego rzeźba, lecz w ostatniej chwili ją usunięto. Pobity przez strażników wystawy, strącony w niełaszkę, Zenon Bugdał wrócił do Warszawy i teraz, już jako outsider, patrzy na tłum rządców PRL-u na noworocznym balu w Komitecie Centralnym KPZR: „Ogłuszająco grała orkiestra na podwyższeniu w rogu sali. Patrzył szeroko otwartymi oczami na wirujący tłum. Rozwiane długie suknie. Połyskiwanie klap smokingów. Uśmiechnięte i pijane twarze. Pulsowanie kolorowych świateł. Falowanie serpentyn i bibułkowych dekoracji. Uderzyło go, że wiele par było w maskach. Małych i czarnych - balowych, albo karnawałowych - zwierzęcych, z ogromnymi ryjami, rogami, czy uszami, które kłapały w tańcu; były też maski potworów - ogromne nosy, zęby wampirów, przyprawione do okularów nastroszone brwi. Słyszał było tupot i szuranie po podłodze. Pary szamotały się i kolebały w pijanym bezładzie, inne wirowały płynnie i gładko. To tańczył jego poprzedni świat. Jego poprzednie życie”. Zenon Bugdał był przykładem „antywierności” - a raczej partyjnego karierowicza. Miał tak skażoną osobowość, że „brnąc coraz dalej i głębiej w świństwo, równocześnie oczyszczał się w swojej własnej świadomości i uszlachetniał. Robić partyjną karierę na antypartyjnych nastrojach społecznych, była to doprawdy gra arcymistrza. Jakby jednym ruchem szachował zarazem króla i królową”.

Na rozstajach historii musimy być wierni - ojcu, matce, dziadom, tradycji. Ten dogmat gwarantuje godność osobistą, honor, realizację uczciwego człowieczeństwa. Zasada wierności to wewnętrzne światło. Kto go nie posiada jest po prostu ubogi, z czasem staje się tragicznym nędzarzem. Kazimierz Braun we wszystkich swoich książkach, a w „Pomniku” w szczególności, z całą pisarską mocą lansuje przykazanie wierności, sam osobiście będąc przykładem realizacji tej zasady. Sprzeniewiercy wierności to ludzie, przed którymi pisarz ostrzega. Ma do tego prawo, bo jego

właśnie, z powodu wierności, boleśnie i bezboleśnie dotknęła historia. Zmusiła do emigracji. Podzielił los twórców z panteonu kultury narodowej. Ale tak jak kiedyś wielcy romantycy, nie wywiesił białej flagi, nie poddał się - nadal publikował, reżyserował, wykładał. Dzisiaj z zadumą może przeglądać swoje „teczki”, które otrzymał z Instytutu Pamięci Narodowej. Został bowiem oficjalnie uznany za „pokrzywdzonego”. Z teczek tych wynika m.in. jak bardzo był dla swoich nadzorców „obcy ideologicznie”. Braun nigdy nie był członkiem partii, nie musiał „bohatersko” oddawać partyjnej legitymacji. Stróżów porządku komunistycznego kłuł w oczy jego katolicyzm. Wielokrotnie donosiciele piszą o nim, że „demonstracyjnie chodzi do kościoła”, że ma koneksje z Episkopatem, znajomości na KUL-u. Cały czas był śledzony, w domu miał podsłuch itd. Gdy dzisiaj retrospektywnie pochylamy się nad dorobkiem pisarskim autora „Pomnika”, to widzimy z całą dokładnością, że zawsze był on wierny sobie i Polsce, swoim artystycznym ideałom służenia ze wszystkich sił kulturze narodowej.

Przed kilkoma laty, recenzując książkę Kazimierza Brauna „Pożegnanie z Alaską” (Instytut Wydawniczy PACX, 1996) opatrzyłem ją tytułem „Gdzież ta Polska?” i pisałem, że prawidłowością polskiej literatury jest to, że wybitne jej dzieła powstawały często na emigracji. Twórca „Pożegnania z Alaską” zdaje sobie sprawę ze swojej „dogodnej” pozycji. Wykorzystuje ją świadomie, tworząc mozaikową opowieść, sagę o emigracji polskiej w Ameryce, a zarazem solidny reportaż, potwierdzony autentycznymi wydarzeniami i nazwiskami. Czytelnik ma satysfakcję, że zwraca się do niego ktoś kompetentny i dobrze zorientowany. Z tej książki Brauna można się wiele nauczyć. sporo przeżyć, studiować współczesność, łapać czas na gorącym uczynku. To są wszystko ogromne walory tej polskiej prozy, pisanej w Polsce. Będąc znakomitym stylistą, operującym sprawnym i posłusznym piórem, Braun kreśli losy Polaków dzielących swój los między krajem nad Wisłą, a Ameryką. Bo to najdziwniejsza z Polskich prawd, że Ameryka jest po prostu w nas, a i my jesteśmy w niej. Ponoć w rzeczywistości połowa Polaków mieszka poza nadwiślańskimi polami, nad rzekami amerykańskimi i kanadyjskimi. Braun, znawca Polski i USA, tych nietypowych „bliźniaków”, w swoich książkach mówi o tym, że jest to trudne pobratymstwo, do końca nigdy nie spełnione. Odpowiedzialnie burzy mit o polsko-amerykańskiej miłości. Nie chce by Polacy nieustannie adorowali ołtarz Ameryki. A zarazem kocha Amerykę. Szuka więc prawdy. Wskazuje, że dogmat

wierności obowiązuje bezwzględnie. I tu, i tam. Sprzeniewierzenie mu się jest niebezpieczne, burzy spokój sumienia. W dziele Kazimierza Brauna widać Polskę, tę tutaj za ścianami naszych krajowych twierdz-mieszkań i tę poza jej granicami, o której wszyscy marzą, do której jadą w myślach i w rzeczywistości.

Barskiego, bohatera „Pożegnania z Alaską” poznajemy jako człowieka w ciągłej pogoni i ucieczce, wycofującego się, łatwo poddającego się. Dlaczego? Bo uformowały go całe dekady komunizmu w PRL, potem spalił się w czasie legendarnych, zbyt krótkich miesięcy zwycięskiej „Solidarności”. Stan wojenny brutalnie przełamał jego życie, spopieliała je do reszty emigracja. Co pozostało? Klasztor. Tam bowiem zaprowadza swego bohatera Kazimierz Braun w finale swej książki, która jest niejako rachunkiem sumienia, poprzedzającym spowiedź z całego życia. Głos Brauna to jeden z wielu przypominających o przykazaniu wierności. Są ich dziesiątki. Ale odosobnione. Nie udawajmy, że ich nie słyszymy. One głośno pytają, gdzież ta Polska? One głośno wyrażają troskę o prawdę: aby awers przystawał do rewersu.

Czytając powieść Kazimierza Brauna „Dzień świadectwa” (Oficyna Wydawnicza 4K, 1999) zastanawiałem się, co należy bardziej cenić u pisarza: czy to, co przeżył, czy to, co przemyślał. Cenię bowiem jedno i drugie. „Dzień świadectwa” to powieść o gorzkim smaku, mimo zwycięskiej pointy. Ale wiem doskonale, że taki smak ma wybitna literatura. A bolesna to lektura, chociaż usytuowana w świetle pontyfikatu Jana Pawła II. Narracja książki ma ukryty świadomie przez pisarza nerw antycznej tragedii, rozgrywającej się w pamiętnych latach 1978-1998. W polskich latach, którym świat przyglądał się z zazdrością. Bohaterem „Dnia świadectwa” jest ksiądz Andrzej i jego droga zarówno do kapłaństwa, jak i poprzez kapłaństwo. Kazimierz Braun kreując postać współczesnego duchownego, wystawił się bez obronnej tarczy na niebezpieczeństwa. Na ile potrafił okazać się „sprawiedliwym”, jaki procent prawdy zdołał ukazać, jakie obszary kapłańskiej osobowości okazały się tabu? Portret księdza Andrzeja, kapłana nieprzeciętnego, swego czasu studenta Karola Wojtyły, ma jedną bardzo przekonująco i silnie wyeksponowaną cechę: wiarę. Wiele scen powieści rozgrywa się w pustym kościele, w którym ksiądz Andrzej odprawia Mszę świętą. Mimo osamotnienia i ogołocenia ksiądz Andrzej wierzy niezłomnie. Te sceny porażają autentyzmem, są na granicy proroczych uogólnień, ich wizja wprost przeraża człowieka wierzącego. Mocy nabiera przywoływana

wielokrotnie trójca słów papieskich: „Nie lękajcie się!” Bije z nich zapowiedź niezłomności ludzi i czasów pod zwycięskim znakiem Krzyża.

Wzorem dla prozaików obierających za bohatera kapłana pozostaje wciąż opowiadanie Kazimierza Przerwy-Tetmajera „Ksiądz Piotr” z roku 1895. Powieść Kazimierza Brauna zdaje się stawać na wysokości trudnego zadania. Autorowi nie brak talentu i rozległej wiedzy, zarówno psychologa, jak i prozaika współczesności. Patrzenie na sprawy polskie z amerykańskiego kontynentu (powieść została napisana w Ameryce) pozwala na wizjonerską swobodę i lekkość w budowaniu materiału powieściowego, w którym obok narracji linearnej pojawiają się trzy opowiadania: „Brzemię ziarna”, „Brzemię Babilonu” i „Brzemię prochu”. Konkluzja jest oczywista: życie kapłana to brzemię. Bardzo ciężkie. Duchowny wygląda bardzo pięknie i szczęśliwie za ołtarzem, u jego stopni. Ale to tylko godzina. A pozostałe dwadzieścia trzy godziny każdej doby? Czym wypełnione? Samotnością! Jakże czasem trudną, bolesną, tragiczną.

Kazimierz Braun, pisarz wytrawny i doświadczony, po mistrzowsku kreśli meandry życia księdza Andrzeja. Ale tajemnica powołania i tajemnica życia podczas realizacji Bożego wyboru – to chyba dwie największe tajemnice każdego kapłana. Może nigdy nie da się ich w pełni odsłonić, może nie trzeba. Twórca „Dnia świadectwa” pisze bez uduchowionego kamuflażu: „Trudno, jakby coraz trudniej jest być księdzem we współczesnej cywilizacji z jej laickością, relatywizmem, roztargnieniem i pokusami. (...) Sprzeciwianie się kulturze powoduje izolację. Izolacja sprowadza samotność. Błogosławiona i wzbogacająca pustelnika, staje się przeszkodą w pełnieniu służby przez kapłana diecezjalnego, który ma pracować z ludźmi. Jak to pogodzić?” Czytelnik powieści Kazimierza Brauna wyciąga rękę w stronę księdza Andrzeja, i w ogóle w kierunku wszystkich księży.

Obszerny tom prozy (ponad czterysta stron) zatytułowany „Ptak na szczudłach i inne opowiadania amerykańskie”, (Wydawnictwo Adam Marszałek, 2003) stanowi kolejną, ważną i cenną pozycję w dorobku pisarskim Kazimierza Brauna. Jego „opowiadania amerykańskie”, to zbeletryzowane noty do wielkiej emigracyjnej epepei lat osiemdziesiątych XX stulecia, sięgające jednak aż do korzeni polskiej emigracji, z poł. XIX wieku. Emigracja jest naszą narodową „specjalnością”. Historia każe udać się na nią zarówno prostemu górnikowi z Podhala, jak i wybitnemu twórcy

kultury. W pewnym momencie ich życia lub twórczości każdy z tych ludzi nie mógł, jak mówi Hamlet: „ścierpieć niesprawiedliwości ciemężycieli, łamania prawa, bezczelności władz i upokorzeń, jakich miernota nie szczędzi zasłudze”. Wielu też wygnała z Polski zwyczajna bieda. Ameryka nie odtrącała Polaków, pozwalała narodzić się na nowo, dawała szansę. Często może gorzka, ale realną.

Kazimierz Braun dokonuje perfekcyjnej analizy układów polsko-amerykańskich. Z chirurgiczną precyzją charakteryzuje emigrantów, zwłaszcza tych, których zrodził czas poprzedzający stan wojenny i wydarzenia po 13 grudnia 1981 roku. To jest mocny, sugestywny i równocześnie bardzo obiektywny fundament tej prozy, pisanej z mistrzowskim wyczuciem języka. Doskonała znajomość osobiście przez pisarza „przerabianych” realiów amerykańskich sprawia, że „Ptak na szczudłach” ma walor dokumentu. Jest Kazimierz Braun wiarygodnym dokumentalistą o zacięciu polityka. Przypomina w tym sławnego kuriera warszawskiego Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Wszyscy wybierający się za Wielką Wodę, oraz ci, którzy już tam mieszkają, winni obowiązkowo zapoznać się z tą książką. Przyjaźń amerykańsko-polska, od początku XXI wieku na nowo umacniana, na tej lekturze wiele zyska. Parterowa Ameryka przekłuta drapaczami chmur może być gniazdem dla polskich ptaków stojących, jak aktorzy z tytułowego opowiadania, na szczudłach – na szczudłach emigracji. Opowiadanie „Pożoga” wiele mówi o tym, jak zostać Amerykaninem, jest prawie samouczkiem w tej kwestii. Autor jednak sceptycznie odnosi się do chwili, kiedy Polak po latach amerykańskiego „terminowania” uzyskuje upragnione obywatelstwo i może zamiast śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła”...intonować ze wzruszeniem nie pozbawionym nostalgii „Good Bless America”.

W pisarskim lustrze Kazimierza Brauna widać zarówno Stany Zjednoczone jak i Rzeczpospolitą. Autor nie szczędzi słów krytyki pod adresem tej drugiej. Niektóre stronice to ostra satyra na współczesną Polskę. Wydaje się, jakby były pisane kawałkiem rozbitej, polskiej szyby. Autor boleśnie zapytuje: skąd się wzięli emigranci, co tu robią, jakie sensy i jakie bezsensy kierują ich krokami po nocnym Manhattanie? Co ci ludzie niosą w sobie? Co gubią w tłumie? Na ile są ludźmi, na ile drobinami w ogromnej kotłującej się masie? Jakie są cele ich dróg? Ku czemu zmierzają? Od czego uciekają? „Czasem mogło się wydawać, że w tłumie ludzi przechadzają się też zwierzęta, upiory, jakieś potwory z Boscha, Van Eycka, Schongauera, Goyi, Malczewskiego, Lebensteina, albo Spielberga.” W opowiadaniu

„Interview” zawarty jest swoisty rachunek sumienia. Powinni go czynić codziennie wszyscy Polacy, aby pojąć „co to jest polska miazga, polski zakalec, polski kołtun i polski paradoks, nie mówiąc już o polskim piekle”.

Papież Jan Paweł II uważa, że kto dostrzega w sobie Bożą iskrę powołania artystycznego, musi być jej wiernym. Powołanie pisarza, poety, malarza, rzeźbiarza, aktora, reżysera, muzyka zobowiązuje przed Bogiem i społeczeństwem, w którym artysta żyje. W „Liście do artystów” (Watykan, kwiecień 1999 r.) Ojciec Święty pisze: „Nie można zmarnować talentu, ale trzeba go rozwijać, ażeby służyć bliźniemu. Społeczeństwo potrzebuje artystów. Artyści mają swoje miejsce, gdy idąc za głosem natchnienia tworzą dzieła naprawdę wartościowe i piękne, nie tylko wzbogacając dziedzictwo kulturowe każdego narodu i całej ludzkości, ale pełniąc także cenną posługę społeczną na rzecz dobra wspólnego”. I dalej Jan Paweł II pisze, że poszukiwanie prawdy i piękna, a także staranie o ich dalszy rozwój są rzeczywiście szczególną służbą świadczoną ludzkości. Odrębne powołanie każdego artysty określa pole jego służby, a zarazem wskazuje zadania, które go czekają, ciężką pracę, do jakiej musi być przygotowany, i wreszcie odpowiedzialność, którą powinien podjąć, nie kierując się dążeniem do próżnej chwały, żądzą taniej popularności, ani tym bardziej osobistymi korzyściami. Istnieje bowiem pewna etyka czy wręcz duchowość służby artystycznej, która ma swój udział w odrodzeniu każdego narodu. Polska ma szansę takiego ponownego narodzenia się. Kazimierz Braun chce być pomocny w tym procesie.

Narrator „Pożegnania z Alaską” to z pewnością w wielu wypadkach alter ego autora. Czytamy: „Zawsze traktowałem pisanie jako samolubne buszowanie po niezmiernych przestrzeniach kosmosu wolności duchowej, jak też i jako niewdzięczną służbę publiczną. Pisanie było dla mnie codziennie praktykowaną wiernością – tradycji, językowi, zasadom, ideałom i wartościom. Umożliwiało mi badanie własnego sumienia, rozważanie marności świata, dziękczynienie i przygotowanie się do nieuchronnego, a zarazem nakładało na mnie ciężar analizy życia społeczeństwa, losu narodu, przemian historii”. Kazimierz Braun wyznawca credo, któremu na imię wierność, zajął godne miejsce w gronie najwybitniejszych polskich pisarzy-społeczników, mieniących się słusznie żywym sumieniem narodu.

Czy jest szansa na beletrystykę zaangażowaną bez reszty w sprawy polskie? Myślę,

że jest. Czekamy na powieści, jak w czasach Prusa i Żeromskiego, które by próbowały rozstrzygać dylematy moralne, dawać prawdy obiektywne, książki, o których mogliby z przekonaniem pisać maturzyści. Wypatrujemy w księgarskich witrynach książki, która byłaby sumieniem narodu rozpisany na stronie. Mało jest obecnie pisarzy tak odważnych jak Kazimierz Braun. Proza Brauna dodaje odwagi.

Recenzja ukazała się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto w 2003 r.